

I. Acedia – choroba typowa tylko dla mnichów?

Wielu ludzi, i to nie tylko niechrześcijan, uważa monastycyzm oraz jego ekstremalną i pierwotną formę, czyli anachoretyzm za osobliwą egzystencję na marginesie „normalnego” życia. Czasem wręcz umiejscawia się go poza jego granicami. Stąd też często się mówi, także w kręgach mnichów, o „monastycznej duchowości”. Wskutek tego nawet dla wielu wierzących chrześcijan zmagania i problemy mnichów, ich duchowe doświadczenia i metody pozostają wyłącznym dobrem monastycyzmu, pozbawionym widocznego związku z życiem „normalnych” wierzących.

Niektórzy czytelnicy z pewnością odczują wobec tego pokusę, aby od razu odłożyć tę książeczkę na półkę, skoro tylko spostrzegą, że w oczywisty sposób chodzi w niej o nauki mnicha. „Cóż on nam może dzisiaj powiedzieć?” Jeśli jednak czytelnik zdobędzie się na odwagę, by doczytać ten tekst do końca, wtedy stanie się dla niego jasne, że mamy tu do czynienia z nieporozumieniem. Jest ono zresztą od dawna rozpowszechnione i sami mnisi nie są tutaj bez winy.

Jeśli wierzyć znawcom tematu, *acedia* – pozostańmy chwilowo przy tym obco brzmiącym słowie – była jednym z najtrudniejszych problemów, z jakimi zmagał się monastycyzm, a szczególnie anachoretyzm. „Acedia, tak jak definiuje ją Ewagriusz, jest w istotny sposób związana z życiem anachoretów i jest właściwa dla tego, kto wybrał ten stan”. Czy zatem *acedia* jest wyłącznie chorobą anachoretów? Z pewnością taki pogląd można uzasadniać, powołując się na tak niepodważalne autorytety jak Jan Kasjan i Jan Klimak. Już w przypisywanym Nilowi z Ancyry traktacie *De octo vitiosis cogitationibus* można znaleźć lakoniczne stwierdzenie:

Acedię leczy wytrwałość.

Owszem, sam Ewagriusz zdaje się ten pogląd potwierdzać, gdy pisze w liście do mnichów, którzy prosili go o radę w związku z pokusą opuszczenia domu w przypadku *acedii*:

Zatem opuszczenie zmysłowego domu jest [dla mnicha] hańbą. Oznacza bowiem klęskę. Zdarza się to jednak tym, którzy mieszkają samotnie.

Ciąg dalszy nie pozostawia jednak wątpliwości, że Ewagriusz w żadnej mierze nie myśli tutaj tylko o anachoretach:

W Egipcie bowiem również klasztory buduje się z wielu pojedynczych cel i każdy z braci udaje się samotnie do swojej celi, aby pracować własnymi rękoma i modlić się. Gromadzą się jednak w pewnym miejscu w godzinie posiłku i modlitwy, które są naznaczone na porę ranną i wieczorną.

List ten jest skierowany najwidoczniej do mnichów żyjących jako cenobici, z pewnością nie w Egipcie, być może w Palestynie, i prowadzących życie mniej odosobnione niż to, które im opisuje Ewagriusz.

Dwie podobne do powyższych stwierdzeń sentencje na temat acedii, o których będziemy jeszcze mówić, znajdują się w dwóch dziełach, w tak zwanym *Zwierciadle mnicha* i *Zwierciadle mniszki*. Zakładają one bez wątplenia cenobityczne życie. Prawdopodobnie chodzi w nich o oba klasztory na Górze Oliwnej, które założyli w Jerozolimie Melania i Rufin, przyjaciele Ewagriusza. Mowa jest więc o klasztorach *miejskich*, nie o pustelniach.

Spostrzeżenia te znajdują jeszcze liczne potwierdzenia w dalszym ciągu. Tymczasem prowadzą nas one do pierwszego ważnego wniosku: *zdaniem Ewagriusza acedia w żadnym wypadku nie jest chorobą, na którą monopol mieliby wyłącznie anachoreci! Z równą siłą atakuje ona tych, którzy żyją we wspólnocie*. Wrażenie, jakoby było inaczej, pochodzi stąd, że Ewagriusz faktycznie najczęściej pisał dla anachoretów, a więc dla mnichów, którzy tak jak on żyli samotnie i tylko okazjnie spotykali się z innymi braćmi oraz gośćmi. Zrozumiałe więc, że jego opisy acedii uwzględniają szczególne warunki życia kręgu czytelników.

No dobrze – można powiedzieć – lecz co nas to wszystko obchodzi? Nie jesteśmy przecież ani anachoretami, ani cenobitami, lecz chrześcijanami żyjącymi w świecie! Źródłem tego zarzutu jest wspomniane wyżej nieporozumienie, jakoby istniał odrębny świat mnichów i anachoretów, którego problemy w ogóle nie dosięgają „normalnych” chrześcijan. Nie dostrzega się przy tym elementarnej prawdy: problemy, jakie dręczą ludzkość, są zawsze i wszędzie te same, jedynie ich konkretne egzemplifikacje zmieniają się odpowiednio do konkretnych okoliczności życiowych człowieka. A acedia jest właśnie jednym z głównych problemów człowieka! Ewagriusz mówi o tym całkiem wyraźnie:

Przeciwko świeckim demony walczą raczej za pomocą rzeczy, przeciwko zaś mnichom najczęściej za pomocą myśli. Z powodu odosobnienia są oni bowiem pozbawieni rzeczy.

W innym miejscu jeszcze dokładniej dzieli mnichów na anachoretów i cenobitów:

Przeciw anachoretom demony walczą same, natomiast przeciw tym, którzy razem praktykują cnoty w klasztorach i [innych] wspólnotach, uzbrajają do walki bardziej niedbałych braci.

Ewagriusz uważa więc, że przeciwnicy człowieka, to znaczy namiętności i wywołujące je demony, są na całej ziemi jednakowi, aczkolwiek można wyróżnić

kilka stopni intensywności walki z nimi. Żyjący w świecie laicy są poddawani próbie poprzez konkretne materialne rzeczy. Cenobici, żyjący we wspólnocie, i to często na ciasnej przestrzeni – przede wszystkim poprzez bardziej niedbałych współbraci oraz wszystkie te mniejsze i większe niesnaski wspólnotowego życia, przed którymi w klasztorze trudniej uciec niż w świecie. Wreszcie anachoreci, którzy zrezygnowali nie tylko z materialnych dóbr, lecz również z obcowania z ludźmi, najbardziej są kuszeni przez „myśli”, to znaczy obrazy, wyobrażenia itd. W nieunikniony sposób nawarstwiają się one w pamięci zarówno pod wpływem materialnych przedmiotów, jak również poprzez międzyludzkie relacje oraz związane z nimi problemy. „Myśli” bądź wspomnienia przedstawiają poniekąd namiętności w czystej postaci, uwolnione od ich bezpośredniego, konkretnego źródła. Ewagriusz słusznie stwierdza, że ta walka „twarzą w twarz” jest na dłuższą metę najtrudniejsza, gdyż żaden człowiek nie potrafi być tak dokuczliwy jak demon.

Zrozumienie tej prawdy powinno dać wiele do myślenia! Wczesny monastycyzm był przekonany o tym, że na pustyni człowiek spotyka najpierw nie kogo innego, tylko „władcę tego świata”. To, że ktoś wychodzi na pustynię z Chrystusem, wcale nie oznacza, że uniknie wszelkiego kuszenia. Przeciwnie, oznacza to, że występuje tak jak On i wraz z Nim, „nago” przeciw kusicielowi. Popadlibyśmy w iluzję, gdybyśmy sądzili, że dzisiaj jest inaczej. Wróg rodzaju ludzkiego nie jest uwiązany do miejsca, czasu ani okoliczności życia. Ktoś, kto dzisiaj, w naszym odmitologizowanym świecie wstępuje do klasztoru lub obiera stan duchowny, najczęściej nie liczy się z tą fundamentalną rzeczywistością, że tym samym wszedł na „pustynię”, miejsce izolacji i zagrożenia, nawiedzane przez suszę i kłamliwe miraż. Jeśli ktoś nie chce sobie tego uzmysłwić, lecz uważa, że jest tylko grzecznym „robotnikiem w winnicy Pańskiej”, grozi mu niezrozumienie prawdziwej natury trudności, jakie nieuchronnie napotka. Zdziwi się na widok mnóstwa „chwastów”, „cierni” i „pokrzyw”, które zamiast winogron zrodzi mu winnica. Nie domyśli się, że to „nieprzyjaciel” rozsiał je w nocy subtelными metodami. A tymczasem nie są to żadne nieprzewidywalne incydenty, lecz integralna część życia na pustyni.

Paradoksalnie, tę nieświadomość można odnaleźć nie tylko u świeckich chrześcijan, którym materialne rzeczy często przysłaniają wzrok, lecz nawet u mnichów i duchownych, którzy przecież powinni wiedzieć o tym lepiej. Jak jeszcze zobaczymy, acedia jest szczególnie trafnym przykładem tego stanu rzeczy. Skąd ta niewiedza? Może stąd, że sami mnisi i duchowni nie wychodzą już świadomie razem z Chrystusem na bezlitośnie rozległą „pustynię”, lecz wolą pozostać w mętym „świecie”?

Ktoś może powie: „Nie mów nam o *świecie* ani o diable! To są stare baśnie, które nie przemawiają do człowieka naszych czasów!”

Faktycznie, współczesnemu człowiekowi trudno jest mówić o fenomenie zła jako *osobowej* mocy. Tak bardzo trudno, że jeden ze współczesnych biblistów zażądał wręcz, by raz na zawsze zrobić porządek z „mitem szatana”. Jednak jak mało biblijna jest taka „oświecona” postawa, pokazał już tak solidny egzegeta jak Heinrich Schlier w swej książce *Mächte und Gewalten im Neuen Testament*.

Czyżby poeta widział w tym wypadku jaśniej od biblisty? Baudelaire w *Spleen de Paris* ku przerażeniu szatana wkłada w usta pewnego „kaznodziei, który bystrzejszy był od swych współbraci” zdanie, które słusznie stało się sławne z powodu swej przenikliwości i cynizmu:

Moi drodzy współbracia, gdy będzie się przed wami wychwalać postęp Oświecenia, nie zapominajcie nigdy, że najwymyślniejszym podstępem szatana jest to, aby przekonać was o tym, że on w ogóle nie istnieje.

Czy te słowa nie brzmią jak straszliwe proroctwo, którego spełnienie dopiero dzisiaj w pełni dostrzegamy? Co więc można powiedzieć o tym „delikatnym monstrum nudy”, które według osądu diabła jest „źródłem wszystkich naszych chorób i marnego postępu”? Zostawmy jednak twórcę *Kwiatów zła* i zwróćmy się do Ojców Pustyni, którzy również nie stracili nic ze swej aktualności.

*

W cytowanych tutaj tekstach mówi się najczęściej bez różnicy o namiętnościach, myślach i demonach. To dlatego, że myśli są nośnikami namiętności, a demony siłą sprawczą jednych i drugich. Nie zagłębiając się w demonologię Ojców Pustyni i Ewagriusza, podamy do refleksji kilka myśli.

Dla Ewagriusza, który poznał w swoim najbliższym otoczeniu *manichejski dualizm* i był mu zdecydowanie przeciwny, zło było zasadniczo *pseudoegzystencją, privatio boni*. Bynajmniej nie zaprzecza on tym samym jego realności, lecz odrzuca metafizyczny dualizm dwóch prazasad.

Dlatego też mnich z Pontu z oburzeniem zwraca się przeciwko wszelkiemu negatywizowaniu Stwórcy. Stworzenie jest dobre i jest wyrazem dobroci Boga jako całość i w każdej swej części. Ewagriusz zdecydowanie występuje przede wszystkim przeciwko tym, którzy pejoratywnie rozumieją ciało. Wyklucza tym samym nie tylko samobójstwo, lecz również każdą wrogą ciału ascezę, będącą w gruncie rzeczy powolnym samobójstwem, popełnianym z bardziej lub mniej pobożnych motywów.

Jako pseudoegzystencja zło nie ma w sobie racji bytu. Podobnie jest ze Złym. Jego złośliwość jest czymś *wtórny*, gdyż „Bóg niczego nie stworzył złym”. Nawet „demon nie jest zły z natury”, lecz jedynie z powodu złego użycia swej wolności.

Jeśli więc źle mówimy o demonach, to nie z powodu ich natury, lecz ze względu na ich złośliwość.

Rozróżnienie to Ewagriusz stosuje również wobec grzesznego człowieka. Nawet jeśli z powodu swej bezbożności może on być obrzydliwy, to jednak jako obraz i podobieństwo Boże jest zawsze godny miłości. Dlatego też żadna złość na drugiego człowieka nie znajduje usprawiedliwienia.

Zło istnieje więc jedynie *parazytycznie*, przez to, że w alienujący sposób „przyczepia się” do dobrego, stworzonego bytu. Ewagriusz wyciąga stąd wniosek (problematyczny zresztą), że zło jest nie tylko wtórne, lecz również skończone. „Był czas, kiedy nie było zła i nadejdzie czas, kiedy znowu go nie będzie”, ponieważ wieczne jest tylko to, co jest zgodne z pierwotnym zamysłem Stwórcy, a więc dobro.

W jaki sposób człowiek doświadcza zła (w nieosobowym znaczeniu), a jak doświadcza Złego jako osobowej mocy? Otóż Ewagriusz używa zamiennie takich słów jak „myśl” (jako wehikuł namiętności), „namiętność” i „demon”. Świadczy to o tym, że jego zdaniem zło utrzymuje się w ludzkiej przestrzeni jedynie *parazytycznie*. I jako takie wyobcowuje ono człowieka z jego osobowego bytu. Człowiek, o ile przeżywa sam siebie jako osobę, również zło przeżywa w „demonie” jako osobowe. Poza ludzką przestrzenią jest ono doświadczane najczęściej jako anonimowa moc i potęga, alienująca siły stworzenia.

Jak powiedzieliśmy, współczesnemu człowiekowi niesamowicie trudno jest uświadomić sobie osobowy charakter zła i w związku z tym istnienie osobowych mocy: szatana i demonów. Zastanawia jednak fakt, że zarazem na marginesach społeczeństwa tym silniej uobecnia się świat sataniczny. Czy przypadkiem nie istnieje tutaj ukryty związek?

Podobnie ma się rzecz z zupełnie niezrozumiałą dla dzisiejszego człowieka (przynajmniej na Zachodzie) *świadomością grzechu* u Ojców. Odpowiednikiem ich żywej świadomości bycia grzesznikiem, bazującej na jak najbardziej osobistym popełnieniu cięższych lub lżejszych grzechów, jest dzisiaj niesprecyzowane poczucie winy. Gdy jego nacisk staje się nie do zniesienia, często człowiek ucieka przed nim w agresję wobec społeczeństwa. Odczuwa bowiem doskonale, że nikt nie jest w stanie wyzwolić go od poczucia winy czy nawet kompleksu winy, które nie są właśnie grzechami pociągającymi do osobistej odpowiedzialności. Brak tutaj istotnego elementu doświadczenia grzechu, jakim jest osobowe „Naprzeciw”, ostatecznie – Bóg, wobec którego człowiek zgrzeszył. Nie ma przebaczenia za „niedoskonałości” i „niedomagania”, gdyż *przebaczyć może jedynie osoba innej osobie*. Tak więc doświadczenie własnej grzeszności oraz przebaczenia i wyzwolenia ze wszystkich grzechów związane jest z doświadczeniem Osoby Boga.

Im bardziej człowiek zbliża się do Boga, tym bardziej widzi, że jest grzeszny. Bo prorok Izajasz, kiedy ujrzał Boga, uznał się za nędznego i nieczystego.

*

Rosnąca niezdolność do doświadczania zła jako osobowej mocy, wychwalana przez niektóre oświecone umysły jako wielki „postęp”, ba, nawet jako prawdziwe „wyzwolenie”, ma głębsze tło i o nim też wypada cokolwiek powiedzieć. Jak już wyjaśniliśmy, gra toczy się o coś więcej niż o „diabła”. Jemu aż tak bardzo nie zależy na tym, by ludzie wierzyli w jego istnienie. Natomiast dużo poważniejsza, bo prawie niedostrzegana, jest narastająca niezdolność człowieka do postrzegania samego siebie jako osoby. W rzeczywistości jesteśmy świadkami sięgającego bardzo głęboko procesu *depersonalizacji*, który zagraża współczesnemu człowiekowi w jego człowieczeństwie.

To, co rozgrywa się na naszych oczach i w naszych sercach, to jedynie skrawki wydarzenia ostatecznie metafizycznego, którego nie możemy zobaczyć, lecz w które możemy jedynie wierzyć. Chrześcijaństwo – jako wypełnienie biblijnego Objawienia – jest najwyższą *manifestacją Osoby Boga w osobie człowieka*. Dopiero w bosko-ludzkiej Osobie Jezusa Chrystusa, będącej doskonałym samoobjawieniem Osoby Boga w Jego doskonałym „obrazie”, człowiek doświadcza siebie samego jako stworzonego „na obraz Boży” i tym samym jako stworzoną, skończoną „osobę”. Kiedy jednak ten stworzony „obraz” oddzieli się od nie stworzonego „prawzoru”, wtedy zanika jednocześnie doświadczenie Boskiego, jak i ludzkiego bycia osobą. Pozostaje tylko „bycie wydanym światu”, samotność współczesnego, „porzuconego” człowieka. Wprawdzie nawet świętym nie zostało oszczędzone to bolesne doświadczenie, lecz jakże inaczej je oni przeżywają. Warto przypomnieć wstrząsającą odpowiedź, jakiej Chrystus udzielił Sylwanowi Atonicie, gdy Zły wystąpił przeciw niemu w całej swej napuszonej osobowej mocy: „Wytrzymaj w piekle i nie poddawaj się zwątpieniu!” Oto doświadczenie radykalnego oddalenia od Boga – przetrzymane i przeżyte w mocy słowa Zmartwychwstałego, którego zwycięstwo nad śmiercią i otchłanią wyznajemy przecież w wierze.

*

Wynika stąd paradoksalny wniosek: świadomość tego, że w wypadku zła w świecie i we własnej duszy mamy do czynienia z manifestacją osobowych złych mocy, ściśle wiąże się ze świadomością własnego bycia osobą. Gra toczy się zatem o podobieństwo Boże w człowieku, o fundamentalne *odniesienie człowieka do Boga*. On sam jeden w swej Trójjedyniej istocie jest w absolutny sposób Osobą i dlatego tylko On jest w stanie uczynić możliwym stworzony, osobowy byt.

Druga strona powszechnego procesu depersonalizacji jest już dzisiaj znana. Tam, gdzie zanika świadomość osobowego charakteru Boga, własnej istoty oraz „złych mocy”, tam wsącza się rozproszony i bezimienny lęk przed zagrażającym zewsząd anonimowym „złem”. To zło objawia się wtedy w historii (polityka, struktury społeczne itd.), w życiu jednostkowym (popędy, dziedziczność, środowisko itd.), nawet w kosmosie (przeznaczenie, astrologia itd.) i na tyle jeszcze innych sposobów, że wprost nie można go uniknąć. Tym samym człowiek ponownie zostaje wydany „żywiolom tego świata”, spod których niewoli wyzwoliło go zbawcze dzieło Chrystusa (por. Ga 4).

Niełatwo osądzić, jakie przyczyny doprowadziły do tej utraty równowagi. To nie nastąpiło dopiero dzisiaj, lecz właśnie dziś nie sposób już tego nie zauważyć i to w najszerszym zakresie. Warto jednak zwrócić uwagę na osobliwy entuzjazm, z jakim nawet *przedstawiciele nauk przyrodniczych* zwrócili się w swym poszukiwaniu nowej „jedności” w stronę *bezosobowych* religii Azji, a nawet nie wymarłych nigdy form gnostycyzmu. Fakt ten pozwala przypuszczać, że współczesna depersonalizacja jest ostatnim owocem – z pewnością nie zamierzonym, aczkolwiek możliwym do uniknięcia – owej „gnozy” nauk przyrodniczych, która w pewnym momencie dziejów uwolniła się od nauki duchowej, od teologii. Wraz z tym praktyczno-taktycznym wyzwoleniem człowiek utracił *odniesienie do absolutnego Naprzeciw*, któremu zawdzięcza swe istnienie jego własne „ja”. Tym samym zanikło również poczucie tej *jedności*, która nie jest całkowitą samotnością, lecz niezmaconym *byciem jedno z sobą w obliczu swego „Ty”*. Powróćmy jednak do naszych Ojców Pustyni.

*

Wyostrzona wrażliwość Ojców na osobowe, złe moce świadczy o ich ogromnie żywej świadomości własnej, ludzkiej godności, o ich wolności i odpowiedzialności za swoje życie. Zło ukazuje im się przy tym jako *obca w swej istocie moc*, która próbuje niepostrzeżenie wtargnąć z zewnątrz do człowieka, aby, raz wpuszczona, *wyobcować* go od siebie i tym samym od Boga.

W ochrzczonego człowieka, który przed świadkami wyrzekł się szatana i poprzez zanurzenie w wodzie umarł i zmartwychwstał razem z Chrystusem, w zasadzie nie ma już miejsca, do którego Zły mógłby sobie rościć pretensje. Cóż jednak, jeśli mimo to aż nazbyt często odnosimy wrażenie, że jesteśmy nie tylko dręczeni, lecz nawet opanowani przez zło? Messalianie tłumaczyli to twierdząc, że demon zamieszkuje nasze serce również po chrzcie. Nie mieli racji. Łaska chrztu wygnała go zupełnie. Światłość i ciemność nie zamieszkują razem. Zatem przyczyna wspomnianego wrażenia tkwi gdzie indziej. Dziedziczność, środowisko, przyzwyczajenia, słabość woli itd. sprawiają, że demon znajduje w nas naturalnych sprzymierzeńców, którymi się posługuje. Ewagriusz dodaje, że błędem jest myśleć, jakoby demony znały nasze

serce. Jedynie Bóg, który je stworzył, jest „znawcą serca”. Z pewnością wrogowie duszy za pośrednictwem swych sojuszników mogą wprowadzić do naszego serca przewrotne pokusy, jednakże ich przyjęcie bądź oddalenie zależy od naszej wolnej woli.

Wszystkie wysiłki chrześcijan, a przede wszystkim ascetów, zmierzają więc do tego, by wykluczyć owych sprzymierzeńców i nie przyznać Obcemu władzy nad swoim domostwem. Chodzi o oczyszczenie serca i zachowanie go czystym. *Nie dawajcie miejsca diabłu!*

Ta niezwykle żywotna „demonologia” Ojców Pustyni nie jest w gruncie rzeczy niczym innym jak wiernym odzwierciedleniem ich nad wyraz obfitego i różnorodnego życia duchowego. Nic więc dziwnego, że Ewagriusz odnalazł w niej przebogaty skarbiec doświadczeń, z którego czerpiąc stworzył swą zdumiewająco rozbudowaną psychologię. W odróżnieniu od niechrześcijańskiego w istocie, średniowiecznego lęku przed diabłem i czarownicami, demonologia ta opiera się na fundamentalnym optymizmie.

Co się zaś tyczy owego „zbiegłego smoka”, który was napastuje (Iz 27,1), to nie myślcie o nim, miejcie go za nic i nie lękajcie się go. Jest on zbiegłym niewolnikiem, który źle żył i zbiegł od swego pana. Nie ustępujcie mu miejsca aż do śmierci! Nasz Pan sprawił, że możemy stąpać po węzach i skorpionach (Łk 10,19), a wy boicie się głosów demonów, bo gwizdzą? (...) Smok potrafi tylko grozić.

Mnisze historie pełne są zabawnych niekiedy epizodów, w których Ojcowie drwią sobie z demonów lub karzą je z całkowitą obojętnością. Jedną z takich historii, którą przekazał nam sam Ewagriusz, znakomicie ilustruje ten rys dawnej duchowości mnichów:

Innemu świętemu, który żył na pustyni w pokoju, [przytrafiło się], że kiedy gorliwie się modlił, towarzyszące mu demony przez dwa tygodnie grały nim jak w piłkę, podrzucając go w powietrze i chwytając na słomianej macie, ale żadnym sposobem nie mogły odciągnąć jego umysłu od żarliwej modlitwy.

Jedyną właściwą postawą w tej sytuacji jest faktycznie zupełna obojętność wobec demona.

Ta na pozór groteskowa „personalizacja” zła, którą nie wzgardził również tak wykształcony Grek jak Ewagriusz, w żadnym wypadku nie świadczy o jakiegokolwiek, mniejszej lub większej, naiwności Ojców. Raczej ujawnia się w niej wyjątkowo trzeźwa i czujna świadomość własnej osobowej godności i odpowiedzialności.

Walka z demonami oznacza w gruncie rzeczy *walkę o integralność własnej osoby* przeciw każdemu rodzajowi alienacji, jaką niosą wady. Ta sama walka, chociaż tylko jedna, rozgrywa się na wielorakich płaszczyznach. W świecie – tutaj przebiega ona

beziemiennie, na poziomie materialnych rzeczy i jako taka z reguły nie zostaje rozpoznana przez ludzi. W życiu wspólnotowym – toczy się ona w ukrytej formie na płaszczyźnie międzyludzkich relacji. Natomiast u anachorety, wobec braku zarówno rzeczy, jak i ludzi, walka ta sprowadza się do „sporu” z myślami, które są złożonymi przejawami życia duszy. Anachoreta jest zdany wyłącznie na siebie i nikt poza nim nie ponosi już winy za jego wady. W gruncie rzeczy walczy on więc z samym sobą o własną integrację, walczy ze swoim nie oczyszczonym jeszcze sercem, z którego wypływają złe myśli, nawet bez zewnętrznej przyczyny. Tylko czujność i duchowa trzeźwość strzegą go przed wyobcowaniem przez Złego.

*

Szczególne warunki zewnętrzne, w jakich postanowili żyć ci „profesjonaliści” w walce ze złem sprawiają, że historie Ojców Pustyni często wywołują u współczesnego człowieka wrażenie dziwactwa i przesady, i to niestety do tego stopnia, że w ogóle go one nie poruszają. Lecz czy nie jest podobnie z literalnym traktowaniem Ewangelii przez Ojców? W równym stopniu nas ono zachwyca, jak i zwodzi. Czy następująca opowieść, którą przekazał nam również Ewagriusz, nie powinna zaniepokoić aż do głębi każdego prawego chrześcijanina?

Pewien brat posiadał jedynie Ewangelię, a kiedy ją sprzedał, oddał pieniądze na pokarm dla głodujących, wypowiadając godne pamięci słowa: „Sprzedałem nawet księgę, która mówi mi: *Sprzedaj, co posiadasz, i rozdaj ubogim* (Mt 19,21)”.

Jest to konkretne urzeczywistnienie na wskroś biblijnej zasady, którą Ewagriusz w następujący sposób formułuje w *Praktikos*:

Jak niemożliwe jest, by istniały życie i śmierć równocześnie w tym samym człowieku, tak nie może jednocześnie przebywać w kimś miłość i bogactwo. Miłość bowiem wydaje na zniszczenie nie tylko bogactwa, ale nawet i nasze życie doczesne.

Ostatecznie więc chodzi o zasadnicze, niezwykle ważne pytanie: czy życie chrześcijańskie w swojej istocie, w swych celach, problemach i metodach jest właściwie jedno czy nie? W myśl zacytowanego powyżej tekstu odpowiedź może brzmieć jedynie następująco: istnieje tylko *jedno* chrześcijańskie powołanie. Świeccy i mnisi nie mają ostatecznie oddzielnych „duchowości”. Przecież Duch, którego wszyscy otrzymali w chrzcie świętym, jest tylko jeden. Wrogowie i przeciwnicy chrześcijanina są zawsze i wszędzie ci sami, nawet jeśli potrafią maskować się na wieloraki sposób. Zatem i zwycięstwo mnisi i świeccy osiągają w jeden i ten sam sposób, nawet jeśli stosują na pierwszy rzut oka nie zawsze te same środki.

Również tutaj należy wystrzegać się iluzji. Pewne ćwiczenia często uważane za „typowo monastyczne”, takie jak ubóstwo, post, czuwanie, modlitwa, milczenie oraz szereg innych pochodzą z pism Nowego Testamentu, skierowanych przeciw do wszystkich chrześcijan. Dotyczy to także życia na pustyni. W swojej istocie nie jest

ono bowiem niczym innym jak tylko widzialnym i symbolicznym wyrazem oddzielenia od „świata”, którego wymaga się od każdego chrześcijanina. Praktykuje się je nie dlatego, jakoby zabezpieczało ono przed „władcą tego świata”! Chodzi raczej o to, że właśnie na pustyni Chrystus go pokonał i że każdy chrześcijanin jest wezwany do wejścia w to zwycięstwo poprzez swoją osobistą decyzję.

W przeciwieństwie do późniejszych generacji, pierwsi mnisi, którzy uważali się za następców pierwszej gminy i męczenników, mieli jeszcze bardzo żywą świadomość tego, że nie są nikim innym, jak właśnie *chrześcijanami*. Chrześcijanami w najściślejszym, literalnym wręcz tego słowa znaczeniu. Czuli, że znajdują się *w sercu Kościoła*, a nie na jego zewnętrznych peryferiach. Stąd też to, co im się przydarzało, ma dla całego Kościoła równie paradygmatyczne znaczenie, jak życie gminy w Jerozolimie. Ich historia przedstawia z pewnością sytuację ekstremalną, lecz przecież to samo można powiedzieć o sytuacji gminy jerozolimskiej! W takich skrajnych sytuacjach często ujawniają się z całą ostrością sprawy istotne. Właśnie to nadaje im paradygmatyczną wartość.

Chrześcijanin w tym świecie, obojętnie czy jako mnich czy też świecki, cenobita czy anachoreta, gdy tylko chce wiernie naśladować Pana, wchodzi ciągle w jedno i to samo doświadczenie, które ostatecznie nie jest niczym innym jak doświadczeniem samego Chrystusa. Doświadczenia anachorety i mnicha często na pierwszy rzut oka wydają się nam wyjątkowe, lecz jeśli tylko uwolnimy je od ich lokalno-czasowego kolorytu, wtedy z łatwością wyłowimy z nich tę treść, którą każdy może osobiście przeżyć. A skoro tak się rzeczy mają – a chrześcijański Wschód nigdy w to nie wątpił, stawiając monastycyzm w centrum duchowego życia – zatem na pozór fantastyczne i nierealne doświadczenia dawnych Ojców Pustyni mogą nam, współczesnym, wiele powiedzieć. Dotyczy to nie tylko ich walk, ale również ich zwycięstw! Doświadczenia, które stały się udziałem tych Ojców w ekstremalnych sytuacjach życiowych, doświadczenie ludzkiej słabości, bycia wydanym obcym mocom napierającym z zewnątrz i od wewnątrz, lecz również doświadczenie namacalnego wybawienia od całego tego zła oraz doświadczenie przedsmaku niebieskiej chwały – to wszystko może żyjącemu dzisiaj w świecie chrześcijaninowi wskazać drogę wyzwolenia ku autentycznemu chrześcijaństwu. Wystarczy tylko dokładnie się przyjrzeć i uważnie się wsłuchać.

*

W czasach, gdy przepędzone niegdyś demony powróciły ukryte pod nowymi imionami i w nowych przebraniach, i to liczniej niż kiedykolwiek, koniecznie trzeba je na nowo nazwać ich właściwym imieniem. Tym bardziej, że rozpowszechniło się błędne mniemanie, jakoby w ogóle nie istniały. Wydawało się nam, że zdemaskowaliśmy raz na zawsze mysterium iniquitatis – nie tylko Złego, lecz w

ogóle „tak zwane zło” – jako zwykłe urojenie. Lecz spójrzmy, oto wypędzony diabeł powrócił z siedmioma innymi, jeszcze gorszymi, aby zawładnąć pustym domem, i to tym łatwiej, im słabiej jest on strzeżony (Mt 12,43–45).

Aby to wszystko jasno widzieć, należy na nowo odkopać „studnie”, wydrążone niegdyś w pocie czoła przez Ojców na pustyni, a potem złośliwie zasypane przez Filistyńczyków. Nie chodzi bowiem o to, aby ludzie wobec braku „wody życia” pokonywali dalekie drogi po to tylko, by napić się z mętnych wód Gihonu. Już prorok im tego zabronił. Gdy pewnego razu stare studnie zostaną odkopane i znów wpłynie w nie woda oczyszczona przez piasek pustyni, wtedy okaże się, że mogą one również dzisiaj zaspokoić pragnienie szukających.

Do przekonania tego doszedłem nie tak dawno temu, gdy kilka stron rękopisu tej książeczki przeczytałem grupie młodych studentów, którzy wypytywali mnie o moją pracę. Acedia była im zupełnie nieznana. Wysłuchali kilku tekstów pontyjskiego mnicha, po czym zapytałem ich: „Czy coś wam to mówi?” Wówczas oni odpowiedzieli z przejęciem: „Naturalnie! To, co opisuje ten Ojciec Pustyni – to plaga naszych czasów”. Następnie spytali: „Co można przeciwko temu zrobić?” Otóż ta książeczka ma dać odpowiedź na to pytanie.